Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego“

Światek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej.

Wychodzi co niedzielę

Nr. 47. Grudziądz, 12 listopada 1922 Rok 1.

LIS.

Bajeczka napisana przez Iskierkę.

(Dokończenie).

Bobry przedewszystkiem wykonały doskonale ładny szałas dla króla, przy pomocy zębów, przednich łap i ogona, z gałęzi i kawałków pni, spajanych zręcznie ze sobą lepką gliną, przynoszoną z daleka. Krety zaś kopały zawzięcie pod powierzchnią ziemi.

Dla dostarczania żywności dla wszystkich i na zapas, powołał wilki, dziki i hjeny; a także hipopotamy specjalnie dla przynoszenia traw i roślin z różnych plantacji okolicznych i owoców. Stróżami bezpieczeństwa publicznego mianował Lis-marszałek paru groźnych mandryli i kilkudziesięciu nosorożców, znanych wprawdzie z lenistwa, ale bardzo silnych i uzbrojonych w potężne, ostre rogi na nosie.

Puściwszy w ruch najkonieczniejsze roboty, sprytny lis urządził przyboczną gwardję dla króla-lwa, z 4 lampartów i 4 tygrysów, a pięknego daniela i łosia paziami mianwał jegomości.

Brunatnego niedźwiedzia, który skończył smorgońską akademję i kilką małp, pawjanów, znanych z zuchwalstwa — przeznaczył do zabawiania lwa przeróżnymi figiami, i ten — niby cyrk — oddał pod dyrekcję pantery — tancerki, ulubiennicy władcy.

Wielbłąd i słoń mieli polecone wozić go, gdy zapragnie przejechać się konno, z kanarków zaś i słowików utworzył śliczny chór, niby kapelę, co melodjami swemi zachwycała dwór i króla. Sprowadził też wspaniałego koguta, (któremu kiedyś darował życie) i rozkazał co pewien czas głośno piać, co miało przedstawiać czasomierz i regulować według tego zajęcia.

Kazał także odszukać zbiegłą lwicę, małżonkę lwa, namówić do powrotu, i na damy dworu wyznaczył jej śliczne antylopy, gazelle, kozice i żyrafy.

I oboje królestwo czuli się obecnie znakomicie, komunikowali się ciągle z sobą, nie nudzili już się wcale w otoczeniu swej świty, i zachwycali lisem - dyrektorem. A lew przekonał się, że nie siłą ale mądrością lisią i jego sprytem zdobywa się to wszystko w czym obecnie opływał. O sobie również nie zapominał lisek. Pobudowano mu piękny lokal w podziemiach królewskiego pałacu, do którego sprowadził swą młodą żonę i kilka dla niej służebnic, z tego samego rodu, a ślepca dał im za opiekuna, w czasie swojej nieobecności.

Szybkonogiego strusia wziął sobie za wierzchowca, a z baranków i kózek domowych utworzył swe przyboczne biuro, gdzie notowano wykonane prace, zapasy żywnościowe i rozkazy lisie przekazywano telefonicznie.

Utworzył też dla siebie wylęgarnię kurcząt i kacząt i tylko takowemi żywił się, gdyż od cięższych potraw dostawał okropnych teraz kurczów żołądka. Nie ustawał też w pomysłach i pracy i coraz coś nowego — ku dobru ogólnemu — wymyślał. Założył więc także szkołę dla dzieci przybyszów i krajowców, sprowadził i wyznaczył nauczycieli.

Wilk uczył myślistwa, niedźwiedź gimnastyki i sztuk pięknych, lampart szyku, zgrabności i tańca, a sam lis - marszałek dworu uczył ostrożności i jakiemi drogami najłatwiej zdobywać sobie dobrobyt tutaj na tym padole płaczu. Od czasu do czasu zwiedzał ten plenipotent królewski różne wydziały, lub badał co się dzieje przez telefon.

— Jakże tam czują się wasi lokatorzy, pytał się bobrów.

— O, doskonale, odpowiadali oni, gnębimy ich od rana do wieczora o każdą bagatelę!.

— Tak? Znaczy, weszliście odrazu w swe role, jako mili gospodarze domów, zauważył lis. A wy, nauczycielu wilku, niedźwiedziu i lamparcie, jakże tam sprawiają się wasi uczniowie?

— Cokolwiek osłabli i pozieleli, odrzekli zapytywani, ale to nic nie szkodzi, muszą bowiem uczyć się, dopóki żywe i całe; co zaś z tego wyniknie, nie suszymy sobie tym zbytnio głowy.

— O, czy nie przeciągacie struny i nie znęcacie się zbytnio? wtrącił lis.

— Nauki i bicia po buzi nigdy nie zawiele, panie dyrektorze, — zauważył wilk, — a lis odchodząc mruczał: Biedne małe, w dobre opały dostały się, niema co mówić. . . .

Potem dalej — co słychać w biurze — pytał papugi.

— Barany gwiżdżą, odpowiedziała piękna, błękitna Ara. . .

— A kozy skaczą, dorzuciła druga, czubata Kakadu.

— A sprawy nie pozałatwiane, woła ładna, tęczowa Lori. .

— Oj, marszałku lisie, — krzyczy chrypiącym głosem popielata, z czerwonym ogonem Żako — kozy tak często telefonują do lampartów, aż ochrypłam od powtarzania ich bzdurstw!

— A no młode są i mają widać jeszcze żółto w dziobku, — zauważył lis, — trudno im się więc zbytnio dziwić, a sobie w duchu dodał: będę pobłażliwy dla wszystkich i dobry, to będą mnie lubić i w razie potrzeby — staną po mojej stronie.

I poszedł do wylęgarni kurcząt, gdzie najbardziej lubił przebywać. . . Wtedy ciągle oblizywał się i połykał ślinkę, patrząc na te młodziutkie i głupiutkie stworzonka i już żadna w nim litość nie miała miejsca. . . .

One są stworzone dla mnie — myślał, — dla mnie jedynie! I odwoławszy pieszczotliwie kilka z nich na stronę, często porywał i z kosteczkami schrupał. A potem syty — szedł do króla lwa i królowej lewicy, przypatrując się im i ich dworowi z daleka. . .

Coraz bardziej myślał lis chytrze, wychodzą ze zwyczaju królowie i królowe, jako panujący. . . Trzeba będzie postarać się, aby mnie obwołano prezydentem zwierząt.

A biednemu lwu ani śniło się, co mu zagraża od jego marszałka dworu - lisa, którego tak polubił. . .

KONIEC.

List Kici do Mici.

Moja droga mała pani!

Mruczałam z radości, skoczywszy z kanapki,
Kiedy panny Mici wzięłam list do . . . .
Miła to nowina i wielka zachęta,
Że tam na wsi Mruczka i małe . . . .
Ale to nie bajki, ani żadne plotki,
Że najmilsze dla mnie, moje własne . . . .

Wczoraj się schowały za ogromną dzieżką,
I upilnowały pędrającą my. . . .
Poskoczyły za nią, lecą, pędzą, gonią,
Maciuś już dopada, łapką sięga po . . . .
Ale czy nie zdążył, lub się zgapił może,
Myszka prr... r... r... z pod łapek i już siedzi w . . . .
Trudno, mały kotek głupi jak gawronek,
Więc też pokazała z nory mu . . .
Sądzę, że nie pójdzie w las taka nauka —
I na przyszłość myszce nie uda się sz. . . .
Wczoraj też mieliśmy z przygodami ranek,
Stały ze śmietaną miski dwie i dz . . . .
Chcieliśmy śmietany powąchać troszeczkę,
I wywąchaliśmy calutką mi . . . . .
A co gorsze jeszcze, że Maciuś gagatek,
Złamał panny Mici ulubiony kw. . . . .
Alem go skarała: za psotę koteczku!
Będziesz dziesięć minut siedział na st. . . .
Odrazu się nie przyznał, jeszcze się zapierał,
Potem gorzko płacząc, łapką łzy o. . . . .
I przeprasza pannę Micię uroczyście,
Prosi, czyby nie mógł dopisać się w . . . . .
Żegnam pannę Micię. Czekam jej przybycia,
Najwierniejsza kotka, kochająca Kicia.

CZAJKI.

Przypowieść.

Był w Polsce Król, nazywał się Kazimierz, a że od Jagiełły pochodził, Jagiellończyka przydomek nosił.

Siedział ci ten Jagiellończyk na zamku krakowskim, na Wawelu, o szczęściu królestwa swego zamyślał, a że i synów sporo miał, to wychowania ich pilnował, iżby się do zacnych zaprawiali rządów, a w miłości ku swemu narodowi ćwiczyli.

Nauczyciela im dobrego dał, Długosza, z nim też nad uczonemi przesiadywali księgami albo nad Wisłą, nad polską rzeką

wszą chodząc, ćwis na pięknych a mądrych rozmowach trawili.

Wszyscy też wyszli na ludzi: jeden z nich koroną czeską i węgierską skroń swą przyozdobił trzej niezgasłą sławę Jagiellonów na ojczystym gruntowali tronie, piąty kardynałem w Gnieźnie na stolicy Wojciechowskiej siedział, ostatni Kazimierz, zaszczytem wszelkim pogardził, nie za królewicza, a za prostaka się miał.

Od pierwszych też lat, kiedy w towarzystwie braci swoich, pod opieką wychowawcy, ulice Krakowa zwiedzał, nachętniej do ubożuchnych żaków się przyłączał wielce się dziwując, że z glinianymi garnuszkami w ręku o krztynę ciepłej strawy dopraszać się muszą, sam po przyjacielsku, jak równy z równymi do drzwi mieszczan krakowskich kołatał albo z sobą na zamek ich ciągnął i, czem mógł, ugaszczał.

Miłosierny był nietylko dla ludzi, lecz i dla wszystkiego co żyje, a najwięcej dla ptaków, bo słuchać ich gwaru lubił. W wieczory majowe okna komnatki swej otwierał, ku lasom nadwiślańskim, światłem księżyca oblanym spoglądał, śpiewy słowicze w młodocianą duszę chłonał i tak się niemi przejmował, że nieraz i wiersz sobie ułożył pod ich wrażeniem.

Żal mu się też robiło na sercu, kiedy nad Wisłą niesfornych spotykał urwisów, strącających gniazda wronie z drzew, albo kamieniami rozganiających stada wróbli, które się na żer z wesołym zlatywały świergotem.

A już żadną miarą nie mógł pojąć, dlaczego człowiek drobne, pierzaste stworzonka więzi po klatkach, zamiast zostawić je na swobodzie, iżby zrywając się o świcie z popod miedzy, jak skowronki, wielbiły wschód słońca, umilały w polu pracę oraczowi iżby siewcy plon wróżył bogaty.

Jednego razu, pod wiosnę, tak mu się przydarzyło, iż wracającemu z braćmi z przechadzki zaszedł drogę chłopaczyna, który za pazuchą coś starannie ukrywał. Ani on, ani jego bracia nie byliby na to zwrócili uwagę, gdyby nie pisk, który wydobywał się z pod kubraczka żakowskiego, pisk żałośliwy, a smutny.

Przystanęli i zatrzymali chłopca, pytając się coby takiego niósł.

— Widno, — powiada królewicz, — dopuściłeś się grzechu, boś się cały zapłonił. — A on odrzecze, że nie, tylko na sidła ptak mu się złapał przedziwny, jakich dotąd w tych stronach nie widywał i że go tam na targu dobrze sprzeda do klatki.

Kazimierz ulitował się w tej chwili, żakowi łów odebrał po zapłatę do zamku przyjść kazał, ptaka osobliwego, przysiadającego mu na ręce, po szyjce i grzbiecie głaskać począł i przekomarzając się mówi:

— Do klatki cię, kochany ptaszku zamknę, jeżeli mi zaraz nie powiesz, jak się nazywasz.

A owo stworzonko w ciemno-zielonym płaszczyku podgardle do góry wyciągnie, dzióbek krótszy od głowy otworzy i piśnie:

— Caj — ka! Puść — mnie!

Królewicz puścił ją, czajka z krzykiem radosnym: Dzię — ki! ku łąkom nadrzecznym poleciała i w dalekich zniknęła przestworzach.

Tej nocy mały Kazimierz taki miał sen: Zdawało mu się, że nie jako królewicz, ale jako pastuszek chodzi sobie w samotnika po lasach i polach, po bagnach i rozległych, trawą i sitowiem zarosłych pastwiskach, myśląc nad tem, co w świecie jest najlepszego i dla szczęśliwości ludzkiej najpotrzebniejszego. Naraz słyszy z rozmaitych stron wołanie: Do — broć! Staje, rozgląda się, aż tu zlatują się takie same ptaki, jak ten którego oswobodził z rąk chłopca, a jeden z nich, przyfrunąwszy i siadłszy mu na ramieniu, powiada:

— Braciszkowie moi wysłali mnie, aby się przekonać, czy w kraju tym znajdziemy wypoczynek i gościnę. Dobryś jest, o królewiczu Kazimierzu! Uratowałeś mnie od kaźni albo i od śmierci; widzimy ja i moja gromada, że nic złego nas tu nie spotka, bo w tobie mamy opiekę,

A na to Kazimierz:

—Rad was oglądać będę do końca żywota; niczego też nie pragnę, a jeno tego, aby i moje odejście ze świata było dla was oznaką, że z cieplic bez szkody powracać tutaj możecie.

I tak się też stało. Po krótkiem, ale świątobliwem, niezmierną dobrocią nacechowanem życiu umarł królewicz na wiosnę, kiedy od brzegów jezior, rzek i stawów odrywały się ostatnie krawędzie lodu, kiedy z pośród zżółkłych kęp zaczynają pracowici ludzie wyjeżdżać w pole, aby pod świeży zasiew ojczystą przeorać glebę.

Naród do dziś dnia czci pamiątkę tego skonu i to w dniu, w którym z wesołym krzykiem: Tuś — my! przylatują czajki.

Taka jest przypowieść o królewiczu Kazimierzu, którą starzy ludzie opowiadają.

W pogoni za futrami.

Obecna pora jest porą zdobywania przez amerykańskich traperów drogocennych futer dzikich zwierząt.

Postacie traperów zaludniające lekkie parowce, płynące ku północy rzekami Kanady zaopatrzone w worki z mąką, konserwy, siekiery, strzelby i pułapki malowniczy przedstawiają widok. Pracują oni najczęściej we dwóch, a że spotykają się tylko raz w tygodniu, samotna czeka ich zima w śniegiem pokrytej milczącej północy. Przybywszy do brzegu, na którym żegnają się z cywilizacją, traperzy ruszają w drogę na obrany już teren pracy. Na całej przestrzeni, w odstępie jakich 5 mil, budują chałupy i na pół podziemne jamy. Między niemi rozmieszczają swoje pułapki lub zatrutą przynętę. Strzelby jaknamniej się używa z obawy popsucia skór. Każdy z traperów rusza z przeciwnego końca a spotykają się raz na tydzień tylko, w środkowej chałupie. Dla ożywienia sobie spotkania w chatce tej zwykle mają gramofon. Niedźwiedź już dawno przestał być pożądaną zdobyczą. Tanie jego i ciężkie futro nie popłaca przy transporcie w kraje cywilizowane. Poszukiwane są głównie kuny i czarne lisy. Na niedźwiedzie patrzą traperzy z pogardą i strzelają do nich tylko przygodnie by odstraszyć je od śmieciska koło chaty w której Miś poszukuje odpadków jadła. Oprócz pracujących na własny rachunek traperów wielkie przedsiębiorstwo Hudson Bay Company prowadzi handel zamienny z Indjanami dając za futra pożywienie, ubranie i broń. Wielu między traperami rozpoczęło swój zawód na stacjach Hudson Bay Company.

Zawód trapera jest bardzo ryzykowny, szczęście nie zawsze mu sprzyja Ale oprócz zamiłowania do samego sportu przynętą jest możliwość zbogacenia się w jednej wyprawie. Futro czarnego lisa dochodzi w pięknych egzemplarzach do tysiąca funtów, miljonowej w polskich markach fortuny.

Wspomnienie pośmiertne.

Okropna wieść, która rozeszła się, parę dni temu, po naszem mieście, napełniła nas przerażeniem, a wielkim smutkiem wrażliwe serca młodzieży naszej! Oto wskutek wypadku, czy — nie daj Boże, ręki zbrodniczej, umarł jeden z gorliwych naszych Czytelników, uczeń IV klasy gimn. klasycznego, syn naczelnika urzędu podatkowego p. Szyndlera.

Wyszedł z kolegą wieczorem i nie powrócił już więcej do domu rodzicielskiego. Zwłoki zmarłego znaleziono w okolicach Tarpna, niedaleko rzeczki Trynki. Dopiero śledztwo, energicznie prowadzone, wyświetli nam prawdę i powody tej nagłej śmierci.

Wcześnie zakończył on swą pielgrzymkę doczesną i z woli Bożej odszedł w lepsze krainy. . . . pozostawiając jednak w duszach swoich bliskich — niezapomniany ból.

Śpij spokojnie — i niech ci lekką, młodzieńcze, będzie ta ziemia, w której od kilku godzin spoczywasz. . . .

Odpowiedzi od Redakcji.

Jastrzębowi. Nadeślij raz jeszcze, kochany Jastrzębiu, rozwiązanie łamigłówki dla Tygrysa, bo mi zaginęła.

Chmurce. Nie dziw się temu Chmurko. Korespondenci nasi są zapracowani nauką i dlatego mniej piszą i przysyłają zagadek. Mam nadzieję, że jednak nie zapominają o nas i choć czasem odezwią się. Bo że czytają swoje pisemko — to wiem napewno.

Płomieniowi, Liścik Twój zrobił mi wielką przyjemność, a także rysopis. Cieszę się, że masz dobrego pzyjaciela; wielką jest przyjemnością, gdy się czuje, że jest szczery i można mu zaufać. Wspomnienia ze szkolnej ławki są często najmilsze w życiu. Piszcie obaj, moi kochani i donieście mi, czy jesteście skautami? ISKIERKA.

Złożono w Drukarni Pomorskiej w Grudziądzu.